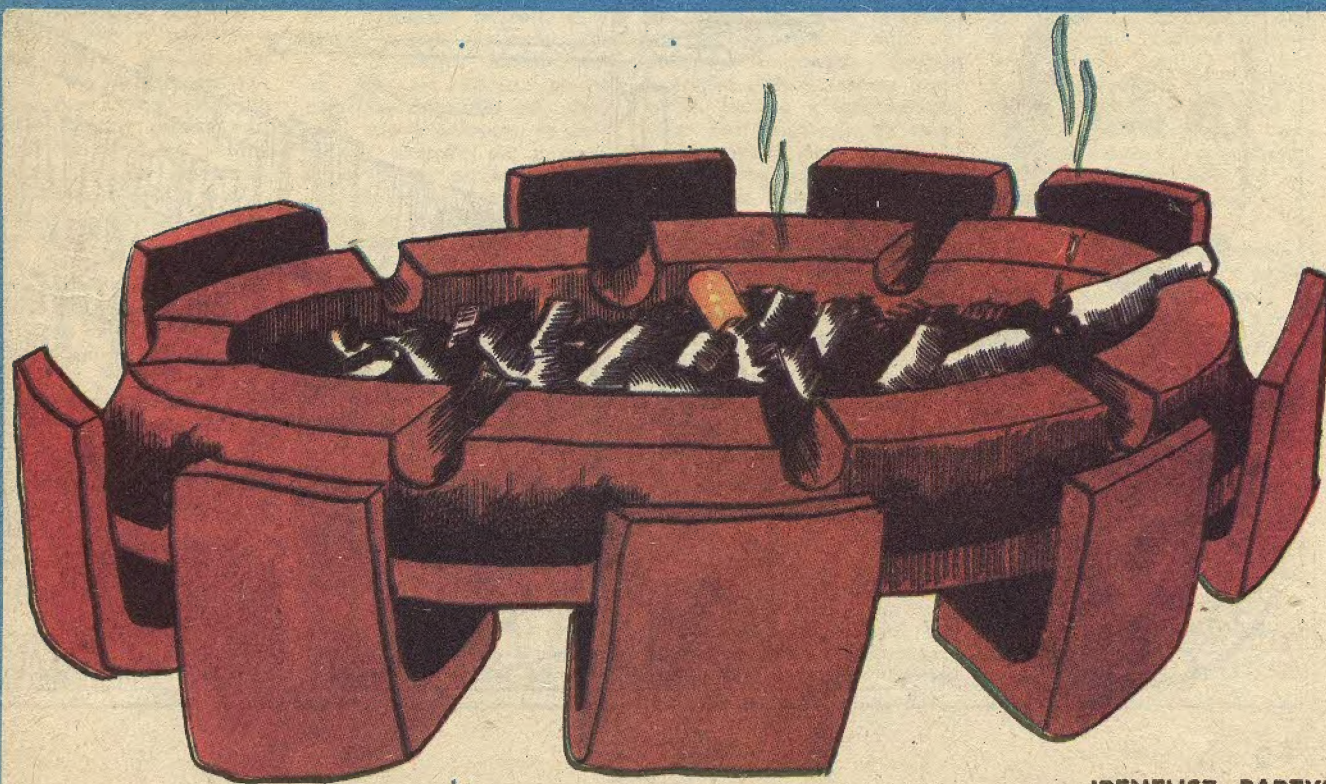
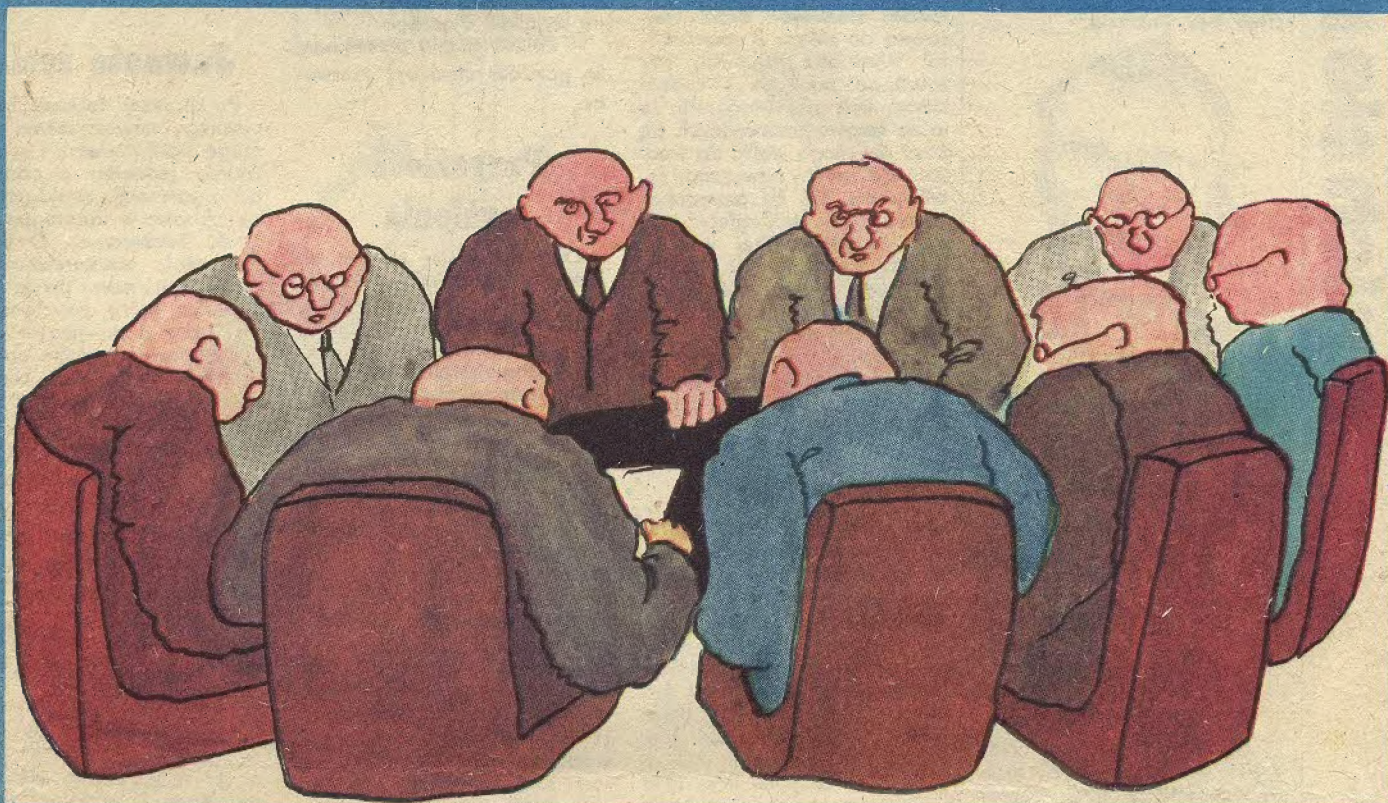


karuzela

ROK XXV 22/598 30.XI.1981 R. CENA 8 ZŁ



IRENEUSZ PARZYSZEK

krój na ziemi

Stanisław Majewski

prezes Narodowego Banku Polskiego

„Dyrektor banku wobec inflacji pieniądza czuje się jak człek bez pokrycia.”



Władysław Majewski

minister Łączności

„Kiedy obejmowałem urząd oceniając jego dotychczasowy dorobek ex post, pewien dziennikarz przetłumaczył to łacińskie wyrażenie jako: „z pocztu.”



Rajcujący personel

W poznańskim Starym Rynku, tuż u zbiegu ulic Wodnej i Paderewskiego, grono cudzoziemców bez powodzenia usiłowało sforsować drzwi wejściowe do sklepu z upominkami. Wewnątrz rajcowały trzy znużone panienki i cudzoziemcy byli przeświadczeni, że to za sprawą zacinających się drzwi nie mogą wejść do środka. Ale gdyby nawet znali język polski też by prawdopodobnie nie zdołali zgłębić sensu wykaligrafowanej na wywieszce informacji: „Sklep zamknięty z powodu zmiany dekoracji”. Bardziej zrozumiały i możliwy dla nich do przyjęcia byłby napis:

— Sklep zamknięty z powodu nagłej zmiany personelu.

Polska norma

W gminach Oleśno, Dąbrowa Tarnowska i innych, gdzie od lat intensyfikuje się uprawę warzyw, plantatorzy podjęli specjalizację pomidorową.

Spotkał ich jednak wielki zawód, ponieważ nie chcieli przyjąć od nich bardzo wytwornego i zalecanego przez instytut warzywnictwa nowego gatunku pomidorów żółtych, zwanych ananasówkami, doskonałych na sałatki, marynaty i konfitury. Panowie od skupu wyjaśnili dlaczego:

— Polska norma przewiduje, że pomidor musi być czerwony.

Przyszłość myślenia

Ostatnio wyszło na jaw, że kiedy w przeszłości zabrakło frezów do tarkarek natychmiast, bez zwłoki, zwrócono się o dostawę tychże do jednej z angielskich firm. Brytyjczycy odpowiedzieli, że owszem, mają na składzie znakomite frezy, reprezentujące swą jakością najwyższy standard światowy. Niewiele myśląc (a jednak myślenie ma u nas wciąż jeszcze kolosalną przyszłość!) sprowadzono owe frezy do kraju za cenne dewizy. Okazały się one być istotnie doskonałe, ale tylko

do momentu, kiedy odkryto, iż producentem frezów nie jest firma brytyjska, jeno Jeleniogórskie Zakłady im. Wróblewskiego.

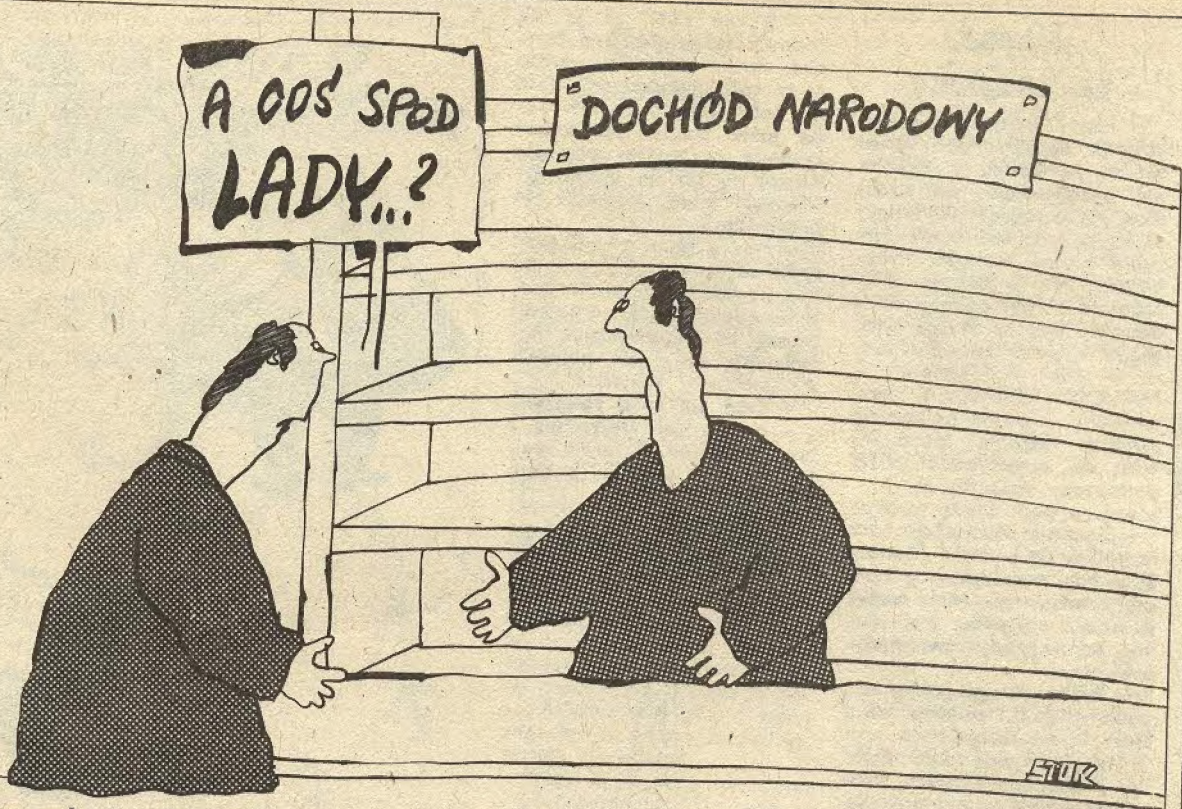
— Kapitalizm targany antagonistycznymi sprzecznościami stacza się coraz niżej na pozycje cwaniactwa.

Jawność życia

Po dłuższej debacie zarząd pewnego stowarzyszenia twórczego podjął decyzję o przynajmniej jednemu z członków tej organizacji, znajdującemu się czasowo w sanatorium, pożyczki bezzwrotnej. O fakcie tym miała zainteresowanego zawiadomić nowo przyjęta sekretarka, którą pouczono, by do pisma o powyższym dołączyła konwencjonalne pozdrowienie. Młoda siła biurowa zabrała się do rzeczy z dużą skrupulatnością:

„Zarząd stowarzyszenia siedmioma głosami przeciwko pięciu uchwalił przekazanie Panu życzeń rychłego powrotu do zdrowia, a także pożyczkę bezzwrotną na sumę taką a taką.”





Zamiast wywiadu z panią ministrową

Dzisiaj miało być w tej rubryce interview z panią ministrową Krasieńską, ale niestety, w przeciwieństwie do swego małżonka, niechętnie udziela wywiadów, aby – jak twierdzi – nie potęgować i tak już wielkiej popularności ministra od niepopularnych decyzji. Pani ministrowa nie zgodziła się co prawda na wywiad, lecz była tak dalece uprzejma, że nie odmówiła mi rozmowy. Wynikało z niej, że owszem uradował ją zaszczepny awans męża i w pierwszym momencie czuła się pochlebiana, lecz później przeraził ją ogrom odpowiedzialności, jaka się wiąże z piastowaniem tego stanowiska.

Zainteresowała mnie, czy w pełni akceptuje dość kontrowersyjne bądź co bądź decyzje ministra w sprawie cen i dowiedziałem się, że o ile zna dobrze tego ministra, to kieruje się on w swej historycznej misji nie tylko szczerym entuzjazmem, ale także racjonalnymi kryteriami, będącymi wynikiem wieloletnich badań.

Nikt zapewne nie wątpi w

nieskazitelną intencję ministra, natomiast jest chyba trochę osób, które nie podzielają godnego zazdrości optymizmu co do skutków podwyżek cen. Wszyscy zgadzają się tylko z hipotezą, że ceny są nieprawidłowe, lecz pogląd, że są zbyt niskie podziela już znacznie mniej osób. Pani ministrowa, oczywiście, jak na dobrą żonę przystało, bez zastrzeżeń popiera koncepcję swego małżonka, ale jako gospodyni domowa żywi, jak się zdaje, pewne obiektywne. Zdradziła mi, rzecz jasna nie w sekrecie, że cała rodzina niepokoi się o reputację tego prostodusznego, acz piekielnie inteligentnego profesora, który postanowił w praktyce sprawdzić swe akademickie teorie. Myślę, że ten niepokój jest całkiem zbędny i jeśli nawet ministrowi Krasieńskiemu nie uda się wypełnić do końca swej życiowej misji, zapisze się w pamięci potomnych jako wielce sympatyczna postać telewizyjna. Cechuje go rzadko spotykany refleks, niezmienna pogoda ducha, szczerość, otwartość, pasja i silna wiara w to co mówi, a mówi przeważnie, że największym szczęściem dla ludzi jest podwyżka cen i bardzo się dziwi, że rozmówcy mu nie wierzą. Nie chciałbym być posądzony o złośliwe czepianie się pana Ministra,

który właśnie na temat czepiania posiada bardzo oryginalną teorię wykładającą się jak następuje: ludzie niejako chcą się przyzepszczyć do kogoś, kto wierzy w to, co robi, a On, minister, nie ma nic przeciwko temu, żeby się właśnie do niego przyczepiali. I tu rzeczywiście ma rację, gdyż udręczeni w kolejkach klienci chętnie uwierzą każdemu, kto im powie, że dzięki reformie cen nastąpi obfitość dóbr na półkach sklepowych. Zresztą wszystkie dotychczasowe podwyżki, łącznie z wprowadzeniem cen komercyjnych, miały identyczną argumentację.

Zapytałem panią ministrową czy także całymi godzinami stoi w kolejkach, i dowiedziałem się, że istotnie, choć nikt jej w to zapewne nie uwierzy, większość swego czasu, niestety, spędza ostatnio w długich ogonkach, a co się tam nasłucha o swym małżonku, to pozostanie jej słodką tajemnicą. Nie zdradziła mi czy opinie te przekazuje mężowi, natomiast moją ciekawość co kupuje na kartki zamiast alkoholu zaspokoiła krótkim stwierdzeniem: alkohol!

W ogóle rozmowa ta, choć nie autoryzowana, toczyła się w szczerzej, przyjaznej atmosferze, pani profesorowa ubolewała, że mąż musiał zostać rodzinną w Poznaniu i zamieszkać w hotelu Sejmo-

wym w Warszawie. No cóż, taki już jest los żon mężów opatrnościowych, którzy jeśli zdradzają swą żonę, to tylko z całym narodem i w których miłują się bataliony gospodyń domowych. Jedną z licznych wielbicielek naszego aktualnego prominenta na ministerialnym stołcu nie bacząc na jego stan cywilny wyznaje publicznie w „Kobietach i Życiu”: „Zakochałam się w ministrze Zdzisławie Krasieńskim. Nie pytałam jak to się stało, ani jak to możliwe, biorąc skład naszego rządu. Uczucie opanowało mnie nagle, pewnego deszczowego dnia i rościło, nasilało się w miarę patrzenia, słuchania i porównań”.

Pani ministrowa zapewniła mnie, że jest spokojna o przyszłość swego małżeństwa i swej rodziny, jako że przy najmniej ten członek rządu cieszy się jej pełnym zaufaniem. A swoją drogą to dziwne, indywidualnie wszyscy członkowie naszych władz rządowych są ludźmi dużego formatu i wielkiej klasy, a zbilansowani w jeden rząd czynią wrażenie jakby nieco tracił na swej ołbrzymiej wartości, a nawet i na zaufaniu.

KAROL BADZIAK

Napad na kasjerkę

— Jakie uczucie ogarnia kasjerkę bankową kiedy klient wręcza jej kartkę z nieudolnie wykaligrafowanym żądaniem: „Pieniądze! 100 tysięcy zł szybko! cicho! mam przy sobie groźny materiał wybuchowy”. Na to pytanie miarodajnie i wiarygodnie może odpowiedzieć w Polsce tylko jedna kobieta, kasjerka kasy nr 1 NBP w Poznaniu — MARIOLA DOMAGAŁA, której pewnego październikowego poranka właśnie identyczny tekst do przeczytania podał podejrzaný osobnik.

— I co pani wtedy zrobiła?

— Zgodnie z instrukcją opanowałam się — mówi Mariola D. — gdyż najgłupsze co można w takim momencie zrobić to wpaść w panikę.

— Jak wyglądał ów bandyta?

— Był to ponury, groźny, nieogolony drab, zupełnie jak z filmu kryminalnego.

— A naprawdę skąd był?

— Z Obornik Śląskich, jakiś zaopatrzeniowiec, imieniem Seweryn, nazwiska nie zapamiętałam.

— Chyba pani jest wdzięczna temu groźnemu rozbójnikowi, dzięki niemu stała się pani w Poznaniu bohaterką dnia.

— Jaka tam ze mnie bohaterka, wyjęłam z kasy 100 tysięcy, i co prawda trochę się ociągając, wręczyłam mu.

— A on co na to?

— Wydaje mi się, że był bardziej zdumiony ode mnie, lecz pieniądze szybko schował do kieszeni i ruszył w stronę wyjścia, a wtedy ja podniosłam krzyk na cały bank i równocześnie uruchomiłam urządzenie alarmowe.

— Co pani mówi, podobno urządzenie było nieczynne?

— Jak pan śmie, to nie prawda, to insynuacja, było czynne.

— Nie szkodzi, rozumiem, pani, nikt nie chce zadziierać z własną dyrekcją, przyjmuję tę wypowiedź do wiadomości i na wszelki wypadek proszę mi odpowiedzieć na kilka bezpieczniejszych pytań w rodzaju: czy pani od dziecka lubi liczyć pieniądze? Co pani sprawia większą przyjemność: szelest banknotów czy brzęk bilonu?

— Owszem, lubię liczyć pieniądze, lecz te nowe, czyste, świeżutkie, banknoty stare, zmięte, zniszczone, brudne są odpychające.

— A wie pani, że ja się żadnych banknotów nie brzydzę, nawet dolarami gardzę w sposób umiarkowany. Jeśli ma pani przypadkiem pod ręką jakiś zmięty, odrażający banknot, to proszę uprzejmie włożyć mi go do teczki.

— Jak mam rozumieć tę propozycję?

— Proszę pani, chyba pani sobie zdaje sprawę z tego, że taki wywiad w „Koruzeli” musi kosztować. I jeszcze jedno: proszę mi odpowiedzieć natychmiast jakie jest największe marzenie kasjerki?

— Żeby się kasa zgadzała.

— No to już zrezygnuję z tego banknotu. A najważniejsza cecha zawodu kasjera bankowego?

— Uczciwość.

— Dziękuję, to zupełnie jak w dziennikarstwie.

Rozmawiał
Karol Badziak



ANDRZEJ STOK



HENRYK CEBUŁA

○ Jego postawa zależy od tego, ile mu postawią.

MARIAN KARCZMARCZYK

○ Zamiast telewizyjnej „Makowej panienki” proponuje się w dobranocce dla dzieci „Kartkową panienkę”.

○ Co za historia! Olejów do smarowania brak, ale smary do historii dostajemy.

○ Kooperujmy z prawdą, nawet gdyby była ona nieopłacalna.

ZBIGNIEW WAYDYK

OCH JAK MIŁO BYĆ POZA ZASIĘGIEM CENZURY



Gawędy filozoficzne

1 Przed wieczorem rozsiadłem się na balkonie korzystając z ostatnich babiego lata. Balkon stał się moim ulubionym czasowiskiem w tym sezonie – siedząc na balkonie nie muszę nikomu oddawać kartek na mięso. No więc, kiedy tak siedziałem, rozległ się wielki krzyk: – Jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy!

Zaintrygowało mnie to. A więc nawet w czasach tak pełnych napięć możliwe jest szczęście pełne. Zaraz też wychyliłem się z pelargonii, aby zobaczyć, kogo to los tak uszczęśliwił?

Był to chłopiec nieduży i trochę umorusany. Lat miał nie więcej jak pięć, oczy mu jaśniały, biegł asfaltem (bo na moim osiedlu niczego poza asfaltem nie ma) i wołał właśnie: – Jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy!

Wtedy krzyknąłem na niego z góry, zapytując, dlaczego to taki on szczęśliwy, w nadziei, że nareszcie rozwiąże zagadkę szczęścia, której dotąd rozwiązać mi się nie udało. Wówczas on wyjaśnił, z trudem łapiąc dech: – Jestem szczęśliwy, bo znalazłem pięćset złotych.

I pobiegł dalej, wykrzykując jak wcześniej, a ja zaraz znów oklapłem i zjadłem trzy gruszkę, bo incydent ten potwierdził moje stare podejrzenie, że szczęście nie istnieje.

Mój szczęśliwiec spod balkonu również kiedyś dojdzie do wniosku podobnego, kiedy po latach jako staruch w pelargoniiach będzie wspominał ten dzień, kiedy to najpierw znalazł pięćset złotych, a następnie musiał je oddać matce i ojcu na kaszę i papierochy.

2 Rano jak zwykle wybrałem się do roboty, bo do niczego mądrzejszego się nie nadaję, i idąc zauważyłem w klatce schodowej ulotkę. Ulotek w zasadzie nie czytam, bo wszystko, co w nadmiarze zmniejsza apetyt, a moją niechęć do ulotek przesądziła gabłota na moim osiedlu, gdzie wywieszono za szkłem, w równym porządku dziesięć różnych ulotek o tej samej treści dotyczącej zwalczania spekulacji. Ulotki te wyeksponowano z tak urzędniczą pedanterią, że wywołały we

mnie uczucie zupełnie sprzeczne z intencją ich autorów, a mianowicie uczucie pełnej solidarności ze spekulantami.

Ale wracając do sprawy: Ulotka na schodach jednak na chwilę mnie zaintrygowała, może właśnie dlatego, że została nalepiona pojedynczo i na wysokości oka, a więc zgodnie z psychologią propagandy wzorowej. Lecz brzmiała niestety tak: „Porządnych ludzi obowiązek mycia schodów nie trudzi!” I zaraz poczułem zwykłą niechęć do ulotek, bo choć forma była wzorowa, przecież treść oślakana.

Mycie schodów mianowicie zawsze trudzi, bez względu na to, czy ktoś jest porządny czy nie. Jeśli ktoś jest porządny a słabowity, schodów nawet nie powinien myć, a jeśli jest porządny i krzepki, niekoniecznie akurat w tym zajęciu musi demonstrować swe etyczne walory. Co więcej, obowiązek mycia schodów wcale nie jest obowiązkiem ani moim, ani porządnym ludzi, tylko spółdzielni mieszkaniowej, która zamiast myć schody wymyśla głupie ulotki i wmawia porządnym ludziom, że powinni myć schody za spółdzielnię, której myć się nie chce. Stosuje ona w dodatku metody niegodne – chce się odwołać do honoru lokatora i chce go zawstydzić, choć wstydzić powinna się sama, a honoru też trochę powinna mieć skoro jej za to płacą.

A więc – nie ma u nas propagandy jak trzeba. Marne nasze widoki.

3 Przysłuchiwałem się perorom chłopca, który za wszelką cenę chciał się wyróżnić z gromady innych chłopców rozsiadłych w piaskownicy, którzy jednak na jego walory pozostawali głusi. Nawet oświadczenie: – A mój tatuś jest dziennikarzem! – nie wywarło na nich żadnego wrażenia, co było zastanawiające jeśli uwzględnić wysoki prestiż tego zawodu. Wówczas chłopiec ten zastanowił się i krzyknął:

– A moja siostra ma robaki!

Tym razem odniósł sukces pełny. Na resztę popołudnia został w piaskownicy sam.

Z incydentu tego płynie optymistyczny wniosek: Zaw sze, nawet w najgorszych czasach można czymś zaimponować.

JANUSZ PRZYBYSZ



JAN KILKOWSKI

JACEK FRANKOWSKI

Dzień dobry, tu Andrzej Waligórski z Wrocławia

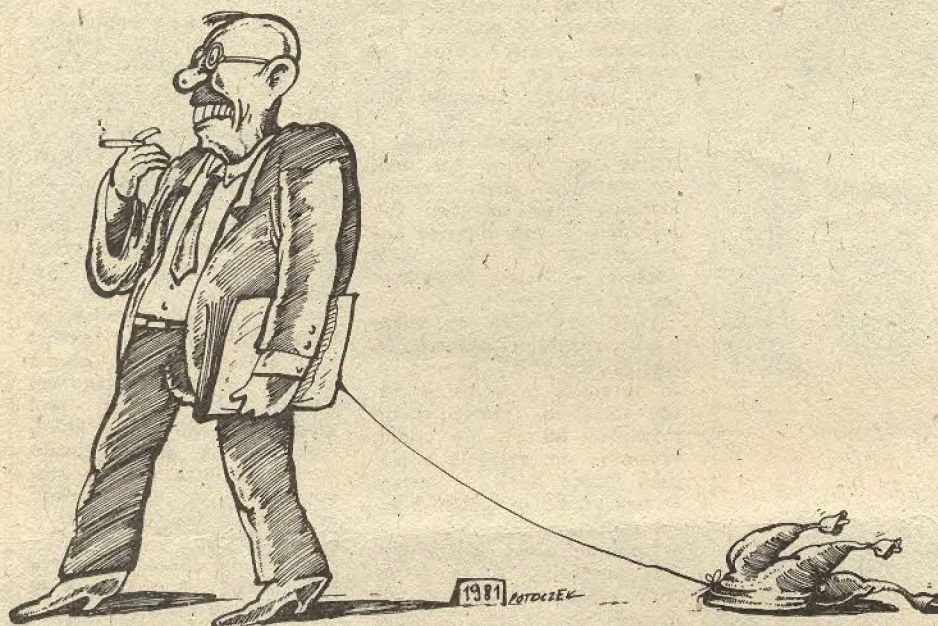
Jako człowiek starszy, to znaczy nie w ogóle tak zwany starszy człowiek, tylko człowiek starszy od tych ludzi, którzy są ode mnie młodszy, otóż jako taki właśnie starszy od młodszych, mam sobie przypomnieć jak spędzałem

wakacje w sezonie jesienno-zimowym i to w różnych ciężkich czasach, żeby ludzie mogli z tych moich doświadczeń skorzystać, bo teraz też mamy ciężkie czasy. Otóż takie ciężkie czasy to ja pamiętam trzy, bo obecny jest czwarty. Pierwsze to były jeszcze przed wojną za sanacji, i wtedy wakacje były rzeczywiście ogromnie uciążliwe, bo wyjeżdżało się w góry, z mnóstwem waliz, kufrów i ogromnych koszy na bieliznę pościelową, gdyż wtedy się jeździło z własną bielizną, a

oprócz tego z własną służką, co było takie uciążliwe, że odetchnąłem z ulgą gdy sanacja się skończyła, z tym że niestety tuż po niej zaplanowała okupacja. W czasie okupacji nie było mowy o wczasach sensu stricto, chociaż można było nagle i niespodziewanie wyjechać, a można było i dobrowolnie, do czego nakłaniała propaganda wizualna, przy pomocy plakatów przedstawiających pyzaty i zadowoloną parę w służbie niemieckiej, uzupełnianą zazwyczaj przez ma-

łą dywersję zachęcającym napisem: „Chcesz chorować na suchoty – jedź do Niemiec na roboty”.

Po wojnie natomiast był znowu trudny okres i jeździło się na wakacje pomagać PGRom i spółdzielniom produkcyjnym. No i w zasadzie wszystkie te trzy modele są nadal aktualne. W góry dalej można jeździć, wprowadzić bez własnej bielizny, ale z własną żywnością. Dziewki służebnej nie radzę wozic, bo zawsze można przyspoczyć



WACŁAW POTOCZEK



Rola mediacji

Nastroje są takie jakie powinny być o tej porze roku. Płyną one z troski i silnego pragnienia. Ogół wicepremierów, wicemarszałków i wiceprzewodniczących jest nawet przeciwko wojnie domowej.

Do nadmajsra Bobrowca zadzwonił telefon. Bobrowiec jest członkiem związków branżowych. Telefon odebrał asystent Szczygiel z Solidarności. „Kto mówi?” – zapytał Szczygiel. „Redaktor Samitowski” – zażartowała telefonicznie szwagierka Bobrowca, Jabłońska, członkini związków autonomicznych. Prowokacja była oczywista. Szczygiel zwołał wiec, na którym uchwalono protest. Bobrowiec zwołał zarząd przeciwko protestowi. Drukarze całą pulę papieru przeznaczili na afisze przeciwko dyrekcji. Minister opowiedział się za dyrekcją. Komisja regionalna uznała, że gotowość strajkowa w zakładzie Szczygła i Bobrowca jest przedwczesna. W zakładach ogłoszono więc strajk okupacyjny.

„Samorząd w kajdanach” – wołali Szczygiel, Wyżyk i Zbiłkówna. „Niech no się tylko ta cholerna odnowa skończy” – pomrukiwali starzy bojownicy, którzy przeszli do konspiracji. „Wszystko dla młodzieży” – wtórowała młodzież. „Mężczyźni do roboty, kobiety do kolejek” – krzyczały siły związane z remontem przyspieszonym.

Jak widać z powyższego, winę ponosi w całej sprawie rząd, którego notoryczna opieszałość stała się zarzewiem nowego napięcia. Nikt z wicepremierów nie udał się bowiem dotąd na negocjacje. Opóźnia się też kolejne ustawy. Bez uchwalenia ustaw Sejm, który stał się Sejmem nie może uzyskać pełnej wiarygodności stojąc na czele

miejsu. Wyjazdy do Niemiec znowu aktualne i nawet mała dywersja przestała się wtrącać. A PGRy w dalszym ciągu potrzebują pomocy. Pozostaje tylko kwestia wyboru, i tu zaczynają się kłopoty, bo Polak jak ma przed sobą trzy ewentualności, to przeważnie zaczyna bluzgać, że nie przedstawiono mu czwartej, i zwykle zostaje w domu. Ja też na razie zostaję.

rewolucji. Winę ponosi też stara KKP, a osobiście nowe Prezydium, które pelza z punktu widzenia jednych, a z punktu widzenia drugich idzie skacząc po górach. Oczywiście, idzie na kompromisy, po górach abstrakcji wedle specjalności naukowej ekspertów. Dla dyrekcji przygotowano tedy pośpiesznie taczki.

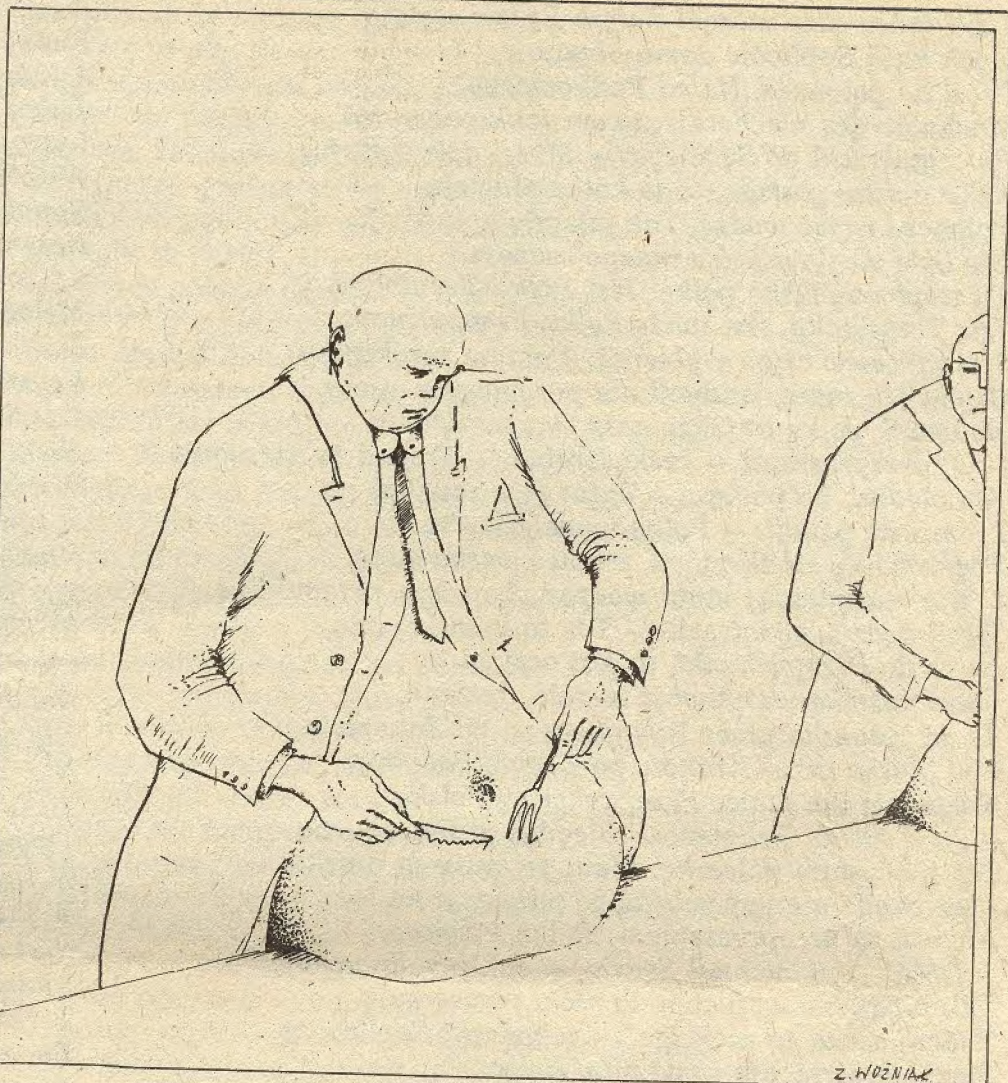
Na szczęście, konfliktem między Szczygłem, Bobrowcem i telefonem, którym posłużyła się szwagierka Jabłońska zajęli się mediatorzy.

Mediatorzy wskazali na wielowiekowe tradycje. Na potrzebę rozsądku. Na miłość bliźniego. Na nabyte poczucie. Na doświadczenie. Na samowystarczalność. Na odpowiedzialność. Na samodzielność. Na samorządność. Na samofinansowanie.

Mediatorzy wskazali też na siebie podpisując się pełnym imieniem i nazwiskiem każdy. Tym samym ponownie przeszli do historii.

Teraz zatem dopiero świta nadzieją utrzymania linii porozumienia. A nawet całej płaszczyzny. Może kiedyś również całej przestrzeni porozumienia?

Gdyby nie system kartkowy, porozumienie, co najmniej liniowe, doszłoby do skutku przy trzech półlitrówkach i funckie kielbasy krakowskiej. Taka jest opinia niezależnego eksperta profesora nadzwyczajnego J. Tymczasem zamiast kielbasy krakowskiej mamy w tych czasach „Gazetę Krakowską”. Przez całe lata Bobrowiec ze Szczygłem porozumiewali się w pełni przy pełnych musztardówkach. Dobrze im było aczkolwiek ustrój na tym cierpiał. Nie ma już powrotu do czasów przedsierpniowych. Jeśli w porę nie zostanie zażegnany cały kryzys społeczno-gospodarczy, a wszyscy winni i półwinni nie zostaną surowo ukarani – Szczygłowi z



ZBIGNIEW WOŹNIAK

Z. WOŹNIAK

Bobrowcem mogą w najlepszym razie dać sobie publicznie po mordzie. Byłoby to – twierdzi profesor J. – w sumie najkorzystniejsze wyjście z sytuacji, o ile w międzyczasie prokurator nie nałoży na Szczygła aresztu prewencyjnego, a „Głos Wolny Wolność Ubezpieczający” nie uzna Bobrowca za agenta carskiej ochrony. Wtedy to nawet apel 35 tysięcy intelektualistów nie pomoże.

„Historia wcale się bowiem nie zaczyna od góry – konkluduje profesor J. Ona się robi wyłącznie na dole. Na górze odbywają się stałe bachanalia w postaci świętowania historii jako sposób przechodzenia do niej przez osoby do tego upoważnione”.

JULIUS

WACŁAW POTOCZEK



ZA CO
TY
MNIE
TAK
UPOKO-
RZYŁAŚ?

Już i tańce czas zacząć! Zatem Sędzia wstaje
 I, jak każą Sopliców domu obyczaje,
 Prosi do poloneza. Na co Podkomorzy
 Machnął ręką niechętnie, twarz lekko nasrożył,
 Po czym rzekł do Sędziego: — Mości dobrodzieju,
 Ilekroć tutaj goszczę, to w kółko Macieju
 Poloneza wciąż wodzę. Tak jak gdyby w kraju
 Nie było wcale tańców innego rodzaju.
 Tu wspomnę tylko polkę. Jest Polka-Tramblanka,
 Jest Trzęsionka, jest także Polka-Przepychanka.
 Jest przeto w czym wybierać. A zatem spróbujmy,
 Czym, jak tuszę, tradycji nie przyniesiem ujmy,
 Bo wszak polka to także nasz płas narodowy.
 — O, przepraszam! — rzekł Hrabia. — Pogląd to nie nowy
 Ale błędny, bo polkę... — Tutaj głos zawiesił
 I wreszcie palnął: — Polkę wynaleźli Czesi!
 Podkomorzy się skrzywił, zrobił kwaśną minę.
 — Nie rozśmieszaj mnie waćpan, bo mam przepuklinę.
 Tutaj Sędzia się wtrącił: — Toż to kpiny czyste,
 Bo co do Przepychanki, to jest oczywiste
 I nad wszelką wątpliwość zostało zbadane,
 Ze od Gdańska przez Bydgoszcz aż po Zakopane
 I od Śląska przez Kraków po Ziemię Podolską
 Nazywają ten taniec Przepychanką Polską!
 — Ja — rzekła Telimena — niegdyś w Peterburku
 Też tańczyłam poleczkę. Mam jej nuty w biurku.
 Lecz chyba nie jest polska, bo wskazuje na to
 Nazwa, za przeproszeniem: Polka Piccicato.
 — Dość! — wybuchnął Sędzia. — Jak już długo żyję,
 Tak nigdy nie wnikałem w aścki perwersyje.
 Tańczuj aścka co zechcesz! — zakończył Soplica
 Swoją dysertację jasną niby świca.
 Ale nie dla Hrabiego. — Wiem to — rzekł Horeszko,
 Ze gdy ksiązę Mieczysław ożenił się z Czeszką,
 Tę polkę mu Dąbrówka wniosła w ślubnym wianie.

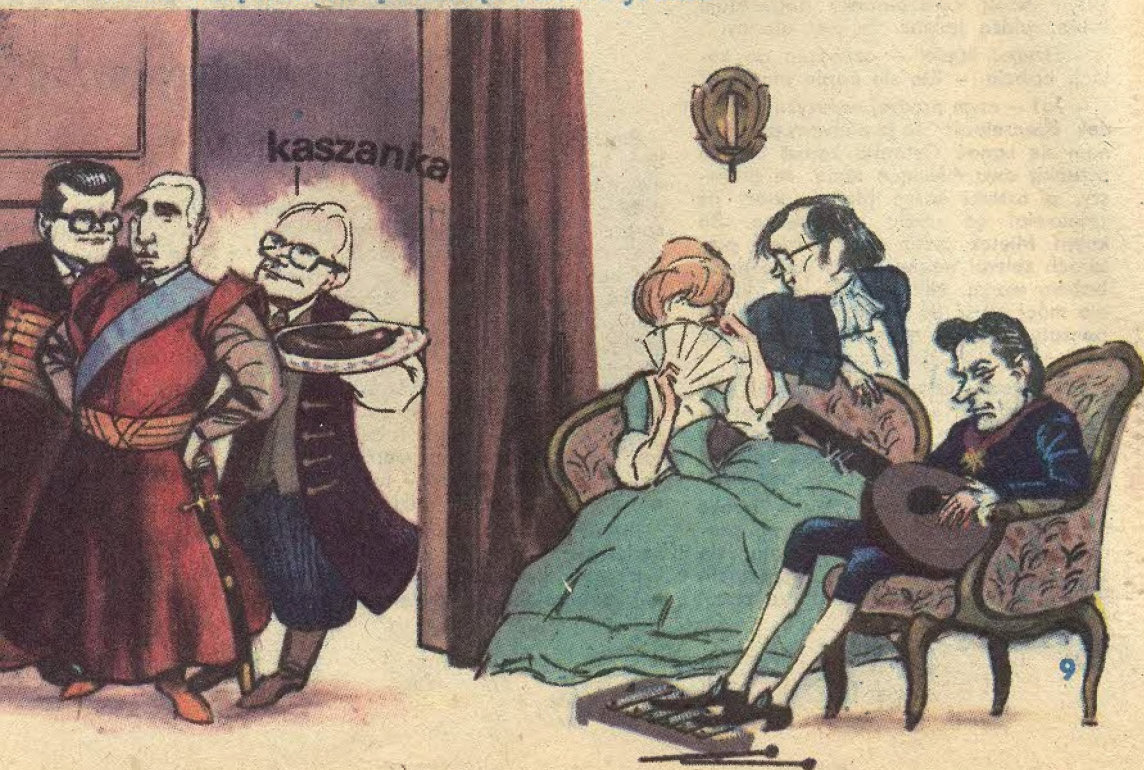


P O L K A

Po tych słowach wynikło małe zamieszanie,
Każdy pragnął wyłożyć swoje własne racje,
Jeśli się przekrzykiwać, wdawać w dywagacje,
Jeden w stronę drugiego wygrażać kulakiem
I wzajem się przepychać jak Polak z Polakiem
Wykrzykując ku sobie uczone cytaty.
Sypnęły się protesty oraz postulaty.
Natenczas Wojski skinął w kierunku kapeli
I dworscy muzykanci od ucha ucieli
Melodię w rytmie polki. Zrazu wszyscy wstali
Zaskoczeni. Wnet jednak z miejsc swych się porwali
I rytmem urzeczeni jeśli podrygiwać,
Kręcić się, obracać, raz wraz podskakiwać.
Niektórzy wyżej nerek. Jeden tylko Ryków
Wstrzymał się od udziału w harcach taneczników.
A tymczasem wokoło trwa polka ochocza,
Niekiedy słyhać prośbę: – Tylko nie po oczach!
Zaś Tadeusz w takt polki przytupując z werwą
Rzekł do Podkomorzego: – Ty stara konserwo!
Chwilę się przepychali, wykładali racje,
Nagle jednak Tadeusz zerwał negocjacje
Nie podając powodów. Jeden tylko Ryków
Nie wtrącał się do sporu obu przeciwników.
Za to inni się rwali raz po raz do akcji
Tworząc sekcje, odłamy oraz kilka frakcji.
W tym tumultcie nie słyhać ni słowa z kazania,
W którym Bernardyn wzywał do opamiętania.
Nikt nie zważał na pulap, gdzie tymczasem zawisł
Nadzwyczaj niebezpieczny inflacyjny nawis.
Teraz już także Hrabia nie przebierał w słowy
Radząc Sędzi, by spłynął na falach odnowy.
Lecz ten nie chciał tłumaczyć, że jakkolwiek błdził,
To jest faktem bezspornym, że on tutaj rządzi.
A tuż obok zajęci najgorętszym sporem



Przepychali się wzajem Rejent z Asesorem.
Szło o to, że gdy Rejent wycinał holubce,
Asesor był go nazwał pospolitym głupcem.
— Tylko nie pospolitym! — protestował Rejent,
A widząc, że adwersarz z protestu się śmieje,
Przybrawszy groźną minę spojrzał nań ze wstrętem
A następnie publicznie nazwał decydemtem.
Tego było za wiele! Asesor się zachnął
I dobywszy pałasza groźnie się zamachnął.
Skrzyżowały się klingi. Trafił frant na franta!
Ten mu wyciął holubca, tamten mu kuranta.
Tu na dobre zaczęto imać się pałaszy.
Ktoś płaczliwie zakrzyknął: — Bracia, biją naszych!
Na słowo NASZYCH wszyscy lekko ogłupieli
Nie wiedząc jako NASZYCH od innych oddzielić.
Kto jest z kim? Nie wiadomo w tym galimatiasie,
Bo jeden od drugiego na gwałt odcinasie.
Tak więc Sędzia się odciął od Podkomorzego,
Horeszko od Soplicy, Soplica od niego.
Tadeusz chętnie odciął się od Telimeny
Nie podając przyczyny. Zasię w głębi sceny
Asesor w mig się odciął od hożej Krajczanki,
A Protazy z Gerwazym od Podkomorzanki.
I tak każdy jak może wzajem się odcina,
Już nikogo nie łączy żadna pępowina.
Więc wzniesione pałasze ku ziemi opadły,
Gdy wtem w drzwiach stanął Wojski, na twarzy pobladły
Podbiegł do Sędzi. Widać z postaci i z miny,
Ze ważnej i niezwyklej jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,
On, dysząc, rzekł: — Kaszanekę dowieźli, mospanie!
Po tych słowach w zebranych jakby piorun strzelił,
Stali niemi czas jakiś jakby skamienieli
Aż Sędzia skinął dłonią. Wtenczas wszyscy siedli
I kartkową kaszanekę milcząc żwawo jedli...



ANDRZEJ KOZIOŁ

A JEDNAK JESTEŚMY SZCZĘŚLIWĄ RODZINĄ

/Wspomnienia
z okresu
po I Wojnie
Światowej/

Dziadek znów zapomniał o lucywie. Można i bez lucywa. Można, ale ciężko. Trudno cały wieczór siedzieć po ciemku. Dzieci dokazują, kuzynka mojej żony piszczy w kącie i żona zaraz zaczyna mnie głośno podejrzewać... Bez lucywa ciężko, nikt jednak dziadka nie strofuje. Babcia tylko coś tam mruczy pod nosem, ale babci wolno.

Na razie jeszcze niezbyt ciemno. Skupiamy się w krąg wielkiej miski, do której babcia wysypuje górę parujących ziemniaków. Po chwili ziemniaki pokrywa cienka warstewka smażonej z boczkiem cebulki. Łykamy ślinę i każdy chwyta za łyżkę. Kuzyn Adolf też.

— A ty tu czego! — pokrzykuje na Adolfa babcia. — Dokąd wybierasz się z tą łyżką? I to jeszcze jaką se wystrugał, wielgachną niczym szufła!

Kuzyn Adolf milczy, bo niby co ma powiedzieć? Rodzinne prawo, to rodzinne prawo. Nie dałeś nic do wspólnej miski — nie będziesz z niej jadł.

Jemy w milczeniu i pośpiechu, tylko kuzyn Adolf nonszalancko pogwizduje sobie, widzę jednak, że jest głodny.

— Dzisiaj kąpiel — oznajmia po kolacji babcia. — Kto się kąpie pierwszy?

— Ja! — czym prędzej wykrzykuje dziadek. Bezcelność! To ja pierwszy powinienem się kąpać. Ostatnią kąpiel brałem przecież dwa miesiące temu. Ja pierwszy, a ostatni kuzyn Mietek, który aż zmatowiał od mialu węglowego. Bo kuzyn Mietek przez cały tydzień przy torach zbierał węgiel do uszytego przez babcię worka. Nikt by już po Mietku nie mógł wejść do wanny. Jako rekompensatę dostanie prawo dodatkowego zaciągnięcia się dziadkowym skrzemem.

To następny ceremoniał. Dziadek starannie odrywa kawałek starej gazety, sypie wykruszone z niedopałków resztki tytoniu. Kilka zręcznych ruchów palcami i już jest wielki, mocno ubity papieros!

Który z dzieciaków wyciąga hubkę i krzesiwo, rodzinna pamiętka po pradziadku. Palimy powoli, zaciągając się starannie. Mnie przysługują dwa sztachnięcia, ponieważ moja żona nie pali.

Kuzynka Monika aienkim, mocnym drutem, dzieli na drobne kawałeczki kostkę mydła.

— Musi wystarzyć na miesiąc — przypomina, wręczając każdemu po kawałeczku. — A zęby myć popiołem...

W przedpokoju dopada mnie dziadek. Oczy śmieją mu się szelmowsko.

— Nie mogłeś, dziadek, pamiętać o tym lucywie? — zapytuje go z lekką naganą w głosie.

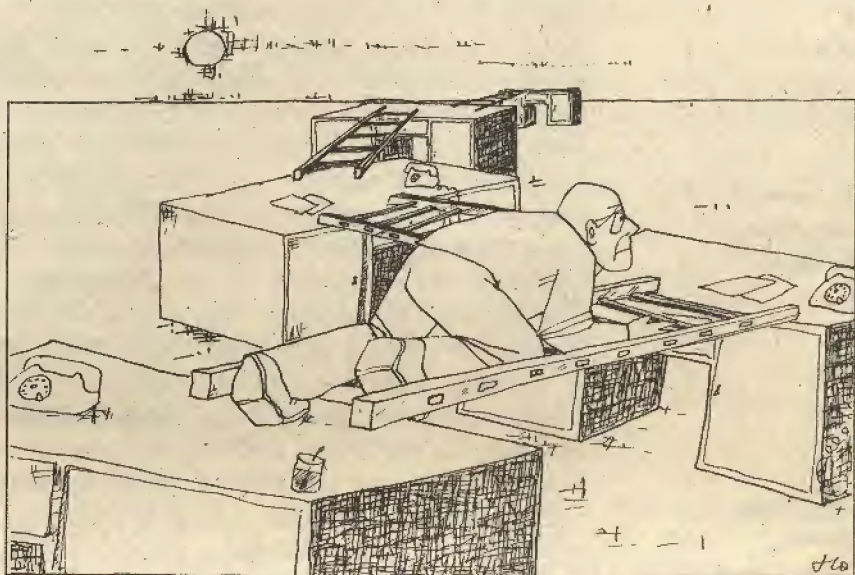
— Pamiętałem, a jakże, pamiętałem — szepcze dziadek — ale nie miałem czasu. Na takim całym dzień polował. Złapałem cztery gołębie. Jutro urodziny

babci, zrobimy ucztę. Będziemy mieli prawdziwy bal...

Mają duszę zalewa radosne ciepło. Do rozmowy włącza się kuzyn Adolf:

— Mięśne kartki, co z nich żadnego pożytku, wymieniłem na cukier — powiada. — Cukier, datem takiemu jednemu, co pędzi bimber. Za litra jeden alkoholik obiecał odsprzedać swoje buty zimowe. Męskie wprowadzić, ale babcia może utkać w palcach sianem lub papierem.

Uściskałem kuzyna Adolfa. Uściskałem bardzo serdecznie. A jednak jesteśmy szczęśliwą rodziną — pomyślałem sobie. □



MIROSLAW PAWEŁ HAJNOS

JAK ZUŻYTKOWAĆ DODATKOWE PÓŁ KILO CUKRU NA KARTKI

/Kącik kulinarny/

Bierzemy pieczywko czerstwe, może być bułka, niekoniecznie wypieczona, ewentualnie inne pieczywko bułkopodobne, po czym siadamy na jakimś sprężce, żeby było wygodnie. Następnie przystępujemy do czynności wiercenia bułki. Z jednej i drugiej strony pieczywa robimy zaczątek otworu kołocentrycznego. Następnie podejmujemy z głowy decyzję, z której strony bułkę będziemy wiercić. Kiedy decyzję mamy już z głowy wykonujemy otwór priorytetowy najpierw z jednej strony, potem z drugiej, aż do połączenia obu otworów. Jak wykazały badania empiryczne kanał między obu otworami nie może być większy niż średnica bułki.

Przystępujemy teraz do sporządzenia nadzianka. Uprzednio przygotowany cukier z wodą napaćkujemy od strony tylnej, zabezpieczając dwiema pinezkami

i tekturką, przed samowolnym wylewaniem się. Uwaga — cukier musi być ścisły, zwięzły, i nie może się gibać.

Dodatkowe wzmocnienie uzyskujemy przez założenie konstrukcji nośnej złożonej z dwu blaszek i śrub zalanych żywicą epoksydową. Górny otwór kremujemy roztopiając uprzednio w rondelku cukier na maż lukrową.

Wartość smakową całości zabezpieczamy resztkami lukru. Wkładamy na chwilę do wygrzanego piecyka. Do alkoholu można podawać sól i pieprz z kawałkiem ogórka lub cebuli.

Hasło na jutro: Bez tartej bułki kotlety mielone są o połowę mniejsze.

Przyrządził:
Wojciech Kawecki



Ostatnio czulem się nie najlepiej – opowiada znajomemu bankier Rot-szyld – toteż postanowiłem złożyć wizytę znanemu specjalście, doktorowi Grubberowi. A jakże, zbadał mnie, opukał, przepisał lek i wziął trzysta franków.

– To bardzo duże honorarium – dziwił się znajomy.

– Trudno – westchnął bankier – lekarz musi żyć. Wprost od Grubbera udałem się do apteki i wykupiłem lekarstwo. Kosztowało dwieście franków.

– Szalenie drogie! – pokręcił głową znajomy.

– Trudno – rzekł bankier – aptekarz musi żyć.

– No cóż – zgodził się znajomy – najważniejsze by lekarstwo przyniosło znaczącą ulgę.

– Gwiżdżę na lekarstwo – parsknął bankier. – Natychmiast je wyrzuciłem.

– A to dlaczego?

– Przecież ja też muszę żyć!

Baron Bessampierre odznaczał się wyjątkową tepotą i grubiaństwem, choć był tolerowany w salonach Paryża z uwagi na wysoką pozycję majątkową.

– Ja – zwierzał się kiedyś poznanemu na przyjęciu oficerowi gwardii – ożeniłem się wyłącznie dla pieniędzy, toteż od momentu zaślubin ani razu nie dzieliłem sypialni z moją żoną. A pan, pułkowniku?

– Chętnie odpowiem, baronie, jeśli wyjawisz mi nazwisko pańskie swoje małżonki.



Dwaj oficerowie z pułku kirasjerów narzekają przy winie na swych ordynansów.

– Mój – powiada kapitan Besiér – jest tak potwornie głupi, iż czasami zastanawiam się czy to nie idiota. Zresztą przekonasz się sam, poruczniku. Hej, Jean – wzywa ordynansa – masz tu jednego franka, skocz-no do sklepu i kup mi tuzin koszul.

– Rozkaz, panie kapitanie! – salutuje Jean i odchodzi.

– I cóż pan na to? – śmieje się kapitan. – Ten dureń chce za jednego franka kupić tuzin koszul...

– To jeszcze nic – mówi porucznik – przekonam cię, kapitanie, że ja mam większego półgłówka – po czym wzywa swego ordynansa.

– Słuchajcie, Marcel – pójdziecie do kasyna oficerskiego i sprawdźcie czy nie ma tam obecnego tutaj kapitana Besiér.

– Rozkaz! – salutuje Marcel i odchodzi.

Oficerowie śmieją się do rozpuku, natomiast obaj ordynansi spotykają się przed kwaterą swych pryncypałów i rozpoczynają rozmowę.

– Mój kapitan – mówi Jean – to kompletny idiota. Kazał mi kupić tuzin koszul, jakby nie zdawał sobie sprawy, że teraz, o północy, wszystkie sklepy zamknięte.

– To jeszcze nic – stwierdza Marcel – mój porucznik, ten dopiero ma potężnego kręcka. Kazał mi sprawdzić w kasynie czy nie ma tam twojego kapitana, jakby, dureń, sam nie mógł go o to zapytać.

Wprzedziale podziagu zmierzającego do Dundee podróżuje dwóch pasażerów: stary Szkot i młody Anglik. W milczeniu upływa jedna godzina, upływa druga, wreszcie na rozmowę decyduje się Anglik:

– Przepraszam pana, czy można za-pytać, która jest godzina?

Szkot obojętnym wzrokiem omiata zmieniający się za oknem horyzont, jak-by pytania wcale nie dosłyszał. Współ-pasażer ponownie zwraca się do niego, ale Szkot milczy i nie okazuje najmniejszej ochoty by zerknąć na zegarek. Trochę już podenerwowany Anglik mówi:

– Wybacz pan, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego ignoruje pan moje pytanie?

Na to Szkot z groźną miną:

– Skoro tak pan się naprasza, to wyjaśnię: gdybym zdecydował się na odpowiedź, to kto wie czy nie potoczyłaby się dalsza rozmowa. A ponieważ ma pan wygląd sympatycznego młodzieńca, być może zaprzyjaźnilibyśmy się w czasie tej podróży. Można też przypuszczać, że po przybyciu do Dundee zaprosiłby mnie pan do baru na drinka, a ja, w rewanżu, zaciągnąłbym pana do mojego domu. Oczywiście, przy kolacji, poznałby pan moją piękną córkę Sarę i jestem świecie przekonany – zakochałby się pan od pierwszego wejrzenia. Nie ukrywam młodzieńcze, że i ty byłbyś jej co najmniej miły. I wówczas nastąpiłoby to najgorsze: oświadczyłby się pan o rękę tej cudownej dziewczyny. A ja nie myślę wydać ją za pierwszego lepszego hołysza bez własnego zegarka.

– O, za pozwoleniem! – zachnął się Anglik. – Zechce pan przyjąć do wiadomości, że mam tuzin zegarków, ale właśnie tego, który noszę przy sobie, zapomniałem nakreślić. Ponadto, mój panie, żeby sprawę wyjaśnić do końca, pragnę oświadczyć, że jako jedyny spadkobierca lorda Buzzneya nie jestem jakimś tam sobie hołyszem, ale dżentelmenem, człowiekiem skądinąd mającym.

– To zmienia sytuację – rzekł Szkot. – Skoro jesteś pan dżentelmenem z pozycją majątkową nic już nie stoi na przeszkodzie, abym poważnie przyjął pańskie oświadczenia i oddał mu rękę pięknej córki Sary. Podaje, mój synu, godzinę tego wydarzenia: jest kwadrans po piątej...



– Przepraszam, zainteresuje panią mój nawis inflacyjny?



Krystyna Zielińska

Śluchając jej wywodów
Dziwi mnie dlaczego
Nie została ministrem
Handlu wewnętrznego.

LANCET

To jest życie

Wygląda na to, że czynione są próby, aby w programie telewizyjnym coś się zaczęło dziać. Edyta Wojteżak i Jerzy Wunderlich, podzieleni monitorami na dwoje (nieantagonistycznych wszakże), zapowiedzieli poważne zmiany, dotyczące głównie „dwójki”. Otóż drugi program oddany zostaje poszczególnym redakcjom oraz ośrodkom regionalnym. Może to oznaczać jakąś, w dobrze pojętym sensie, rywalizację między obu programami, czego zresztą telewizzowie domagali się od dawna. No i jeśli pójdzie tak jak zapowiedziano, to z wolna zaczniemy się przenosić na „dwójkę”.

Z zapowiedzi wynika, że program pierwszy bronić się będzie przed konkurencją zwiększeniem dawek tak zwanej rozrywki na schodach i na lustrzanych estradach, w wykonaniu piosenkarko-tancerek błyszczących od czubka głowy po obcas, śpiewających głównie w językach obcych. Czego ja osobiście w ogóle nie uważam za rozrywkę, ale to mój prywatny gust.

Mnie się marzy w języku

polskim Olga Lipińska, Starsi Panowie, Wojciech Młynarski, Zenon Łaskowik, Andrzej Rosiewicz i jeszcze kilka innych osób, jednym słowem coś swojskiego, bo wreszcie dorobiliśmy się silnej kadry satyryczno-liryczno-rozrywkowej, tyle, że telewizja dawkuje ją homeopatycznie i jakby niechętnie, w zamian serwując hulaśliwie dźwięki z taniego importu.

A dźwięki są dla życia bardzo ważne, a czym przekonali nas w radiowych „Sygnałach dnia” Tadeusz Kurek i Zbigniew Kamiński, dowodząc, że bez dźwięków nie ma życia, a jeden przykład, oparty na jajach, był nie do zbicia, choć to brzmi jak paradoks. Otóż z jaj, ułożonych w inkubatorze gęsto, na styku, wykluwa się więcej i zdrowszych kurcząt, niż z jaj ułożonych luźno, z dala od siebie. Jeśli więc już takie kurze embriony lubią czuć koło siebie towarzystwo i porozmawiać choćby przez ściany, to co dopiero mówić o człowieku.

Jedynym dźwiękiem, który wydaje mi się mało pozytywny towarzysko, jest zgrzytanie zębów. A to przypomina mi znów inną audycję „Sygnałów

dnia”, poświęconą zapobieganiu paradontozie i pielęgnacji zębów. Wprawdzie rzecz była poświęcona głównie technicznej stronie zagadnienia, ale uwzględniono też czynniki takie jak stan nerwów i całość osobowości dla stanu uzębienia (no właśnie, jak ktoś zgrzyta zębami, to im to na dobre nie wychodzi) oraz dieta.

Polecono więc myć zęby twardą, rzadką szczotką nylonową o krótkiej części pracującej i robić to ruchem wymiatającym. Prawdopodobnie twardość szczotki ma zastąpić pastę do zębów, ale tego wyraźnie nie powiedziano. Ważna też jest dieta, to znaczy takie potrawy, które nie będą się do zębów przylepiały. A więc najlepsza jest ostra kasha. Myślę, że pęczak się nie nadaje, bo jest za obły w kształcie, ale jest na to sposób. Pęczak można zemleć w maszynce do mielenia mięsa, albo w młynku do mielenia kawy, które to moce przerobowe stoją teraz nie wykorzystane z braku surowca do przerobu.

Ten pomysł racjonalizatorski przypomniał mi list od jednego z czytelników, który

podsunął mi również pomysł racjonalizatorski. Otóż ten (prawdopodobnie) młody człowiek, Janusz Tomczyk ze Szczecina, ul. Wąska 11 zresztą, nie szczędząc papieru i fatygi napisał, by wyrazić pełną dezaprobatę dla mojej twórczości. Nudne to, ciągnie się jak guma do żucia, spóźnione, styl ciągle ten sam i w ogóle czytać się nie daje. Więc pan Janusz proponuje, by nazwę rubryki zmienić na „Duperele”.

Otóż niestety, pomysł jest truizmem. Istnieje bowiem tyle pism poważnych, że można się nacytać do zeszmużenia. Musi więc być jedno, które zajmie się (pardon) duperełami. No i taką mamy nie pisaną umowę z czytelnikami. A jeśli ktoś nie lubi, to jest na to prosty sposób. Sama go stosuję wobec autorów, których nie lubię. Po prostu nie czytać. Chyba, że się jest czytaczem, a nie czytelnikiem.

Co prawda mnie się dużo rzeczy nie podoba w telewizji, a oglądam, ale to jest mój zawód. Który notabene też się nie wszystkim podoba. C'est la vie!

TERESA



TRĄBKA EUSTACHIUSZA

„Liczy Tatuś i się głowi,
placze pióro w małych dłoniach
i że zgrozy Tatusiowi
rośnie z ucha pelargonია...”
(K. I. Gałczyński – z wiersza Tatuś)

Ogórek. Słonko. Ptaszki. Kwiatki:
tuberkuloza, bez, bławatki.
Ciepło. Przyjemnie. Tu po pracy
żyje i tworzy pan Ignacy.

I dzień za dzionkiem, noc za nocą —
a nocą gwiazdy się trzepocą,
a nocą księżyc, srebrny nierób,
muzyka sfer i smak eteru...

Zima, w bamboszach, przy kominku,
samowar szumi po rosyjsku,
mróz, chłód i wicher — coś to znaczy,
gdy tworzy (sobie) pan Ignacy!

Aż którejs nocy, w straszną pluchę,
gdy świerszczyk świerszczył tuż nad uchem,
wyrosła Ignacemu z ucha
mosiężna trąbka Eustachiusza!

Stało się. Trudno. Nie odstoisz.
Nie urwiesz żywcem. Nie odkroisz.
Wyrosło. Zwisa. Trąbi czasem.
Czasem dyszkantem, czasem basem.

Już pisał kiedyś imion dwojga
Konstanty Komilfo Gałczyński
(a potem, wiecie, była wojna,
dziejowa zamieć i mur chiński),

że też jakiemuś Tatusiowi
wyrosła z ucha pelargonია
i biedak zatrul się grzybkami
i — mówiąc krótko — śmierć, agonia!

A dzisiaj? Cóż ma Ignacy robić?
Czy liczyć na to, że się zmieni —
a przez ten czas niesforna Trąbka
obchodzić będzie dzień imienin?

Cóż — demokracja. Inne czasy!
I już dokonał się dóbr podział.
I rewolucja już nie straszy
I wrzesień już spaździernikowi!

Zabrakło rydzów i grydzyków,
więc czym się zatruć — miazmatami?
Na świecie tylu zdrowych byków
a tutaj... Trąbka pod uszami!

Jakż dasz radę, Ildefonsie,
(Którego wielbię aż po uszy),
by Ignacemu bezboleśnie
Odpadła Trąbka Eustachiusza?



Taka zawartość paczki zagranicznej gwarantuje dotarcie jej w całości do adresata w kraju.

kartki z blekotnika



Interpretacje

— Dostałam bilety na „Królową Śnieżkę” — jakby tryumfalnie oznajmiła ciocia Helenka.

— Chodzisz na przedstawienia dla dzieci? — zdziwił się Konio.

— Skądże, to przedwojenny film disneyowski, dorośli też się zachwycają — wyjaśniła ciocia Helenka.

— Sam bym chętnie zobaczył jeszcze raz, oglądałem przed wojną — niespodziwianie wyznał dziadek.

— A propos, zaraz będzie w telewizji „Kłamstwo Krystyny” — przypomniała sobie babcia.

— Pewnie znowu o jakiejś alkoholizmie, która w dodatku kłamie — jęknęła Lila. — Ja już nie mogę patrzeć na te filmy o pijaczkach. Jednego dnia Barbara Wrzesińska, drugiego Nathalie Wood, a potem Gabriela Kownacka.

— Kownacka piła z dużym wdziękiem — uśmiechnął się do tego wspomnienia dziadek, który jest wielbicielem Kownackiej.

— Chciałem zauważyć, że to nie aktorki piły, tylko ich bohaterki. Aktorzy piją albo czytają wodę, albo jakąś lemoniadę i bardzo im to nie smakuje — upomniął się za artystkami Konio. — Tylko szampan musi być prawdziwy, bo nic tak nie chce strzelać i musować.

— Co wy tu opowiadacie o alkoholikach, kiedy ja chcę oglądać „Kłamstwo Krystyny”. Ona była nadzwyczaj porządną dziewczyną — zdenerwowała się babcia i włączyła telewizor.

— Ja już jestem głodny — przypomniał sobie Jacek.

— Poczekaj trochę, niedługo będzie obiad — pocieszyła go babcia.

— A co będzie na obiad?

— Sączzone jajka.

— Po ile?

— Po piętnaście złotych — odparła babcia z rozżalonym

niem, bo na ekranie już się pojawiła młodziutka Elżbieta Barszczewska, uczciwie choć mało skutecznie, zarabiająca na życie.

— Ja się pytałem po ile jajek będzie na obiad — uściślił pytanie Jacek.

— Po dwa, a jak zechcesz więcej, to dostaniesz i nie zwracaj mi głowy — zakończyła sprawę babcia.

— Na jeden obiad, to wystarczą dwie minuty życia — powiedziała Lila, jakby od rzeczy.

— Co ty bredzisz? — uprzejmie zapytał Jacek.

— W „Przekroju” napisali, że zjedzenie jednego jajka skraca człowiekowi życie o jedną minutę — wyjaśniła Lila.

— Możecie nie jeść jajek, będzie też brukselka — mruknęła babcia.

— Boże, jaka ona piękna — westchnęła ciocia Helenka,

patrząc na Barszczewską, do której los się właśnie uśmiechnął i dostała posadę sekretarki.

— O! To jest stryj-zboczeniec z „Gehenny”! — wykrzyknęła Lila, dostrzegając na ekranie dyrektora-dobrodzieja Krystyny.

— To znany przedwojenny aktor Bogusław Samborski, a nie żaden zboczeniec — sprostowała babcia. — Żeby nie te przedwojenne filmy, to nie mielibyście pojęcia o wielu znakomitych aktorach polskich.

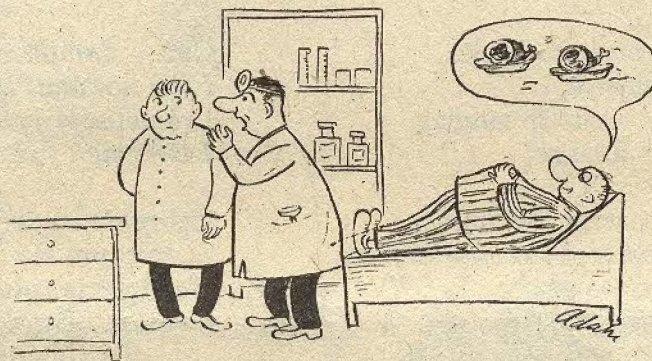
— Ja już coś podobnego widziałam — powiedziała Lila, kiedy film się zakończył. — Chyba w operze. Też był taki ojciec, który prosił ją, żeby się odczepiła od jego syna i ona się poświęciła. Albo jakąś taką książkę czytałam.

— „Traviata” i „Dama Kameliowa”, ignorantko — łagodnie uświadomił kuzynkę Konio.

— Ale to jest ładniejsze, bo się dobrze kończy — oceniła ciocia Helenka.

— To może teraz skróćmy sobie życie tymi sadzonymi jajkami? — wrócił do rzeczywistości dziadek.

Ale jajka na obiad były jakby mniej smaczne, niż zwykle. Może dlatego, że nikt nie uświadomił sobie, że i tak codziennie skraca sobie życie o jeden dzień.



ADAM BIENKOWSKI

— Stan jest ciężki, bredzi o latających talerzach z golonkami!



ADAM BIENKOWSKI

TERESA
WOJCIECHOWSKA

MAREK WAISBORD

„KROKODYL”

Pomarańcza

Nie mogę zrozumieć ludzi, którzy jak kot z pęcherzem biegają po mieście w poszukiwaniu pomarańczy. Nie rozumiem!

Bo i co w nich dobrego? Pomarańcze przysparzają tylko kłopotu. Ot, macie przykład:

Do naszego przedsiębiorstwa zajrzał kiedyś klient. Wali prosto do mnie. Tak i tak, wyluszcza sprawę. Decyzję trzeba podjąć natychmiast.

Zająłem się nim. Klient okazał się rzeczowy, a ja ze swej strony wykazałem dobrą wolę. Podjąłem decyzję, klient otrzymał potrzebne mu zlecenie.

— Nie wiem, jak się panu odwdzięczyć! — rozpywał się w uśmiechach.

— Co za skrupuły! To moja

praca, to mój obowiązek.

— Rozumiem, ale jakoś mi głupio. Zostałem załatwiony pozytywnie i co najważniejsze, od ręki.

— Wszystko jest w porządku. Przecież tak być powinno...

A on sięga do teczki, grzebie w niej i wydłaga pomarańczę. Ogromną. Apetyczną. I nieśmiało kładzie ją przede mną.

— Mam nadzieję, że pan się nie obrazi — tłumaczy cichutko — chociaż takim drobniactwem chciałbym okazać wdzięczność.

— Drobniactwem, jak pan mówi, ale miłutką. Dziękuję. Do zobaczenia. Polecam się na przyszłość...

Klient wyszedł, a ja nie wiem, co zrobić z podankiem. Na biurku papiery, pieczątki, segregator, a tu prywatna pomarańcza.

Wchodzi nasz pracownik, Dynowski. Spojrzał na owoc i powiada:

— Skąd to wytrzasnąłeś?

— Zostawił jakiś dziwak. Nawet nie wiem, co z tym robić?

— Nie przejmuj się — uspokoił mnie. Nie ma sprawy. Znajdziemy jakieś wyjście. Siniębriuchow skoczy na róg i wszystko będzie w porządku.

I rzeczywiście Siniębriuchow skoczył i wrócił z butelką. Obraliśmy pomarańczę, pogadali, przekasili. A w butelce jeszcze trochę zostało. Trudno było wylewać do zlewu...

— Czego się martwić chłopaki? — zajrzał do pokoju Pyżow z sąsiedniego wydziału. — Czy macie jakiś kłopot?

— Mamy. Zagrycha. W butelce jeszcze coś chlupoce — wyjaśnił Dynowski.

— I to was martwi? Mam w biurku jabłko.

Po chwili jabłko leżało obok skórek pomarańczowych. Wystarczyło ich do zakaszania. Jeszcze zostały.

Siniębriuchow znowu skoczył na róg i przed naszymi

nieco zamglonymi oczami pojawiła się nowa, pełna butelka.

Wypiliśmy — zakasili. Zakasili i znowu kieliś. A na talerzu zostały tylko skórki po jabłkach. Złośliwość rzeczy martwych spowodowała wiedzieć, że znowu w butelce dno było przysłonięte spórą warstwą płynu.

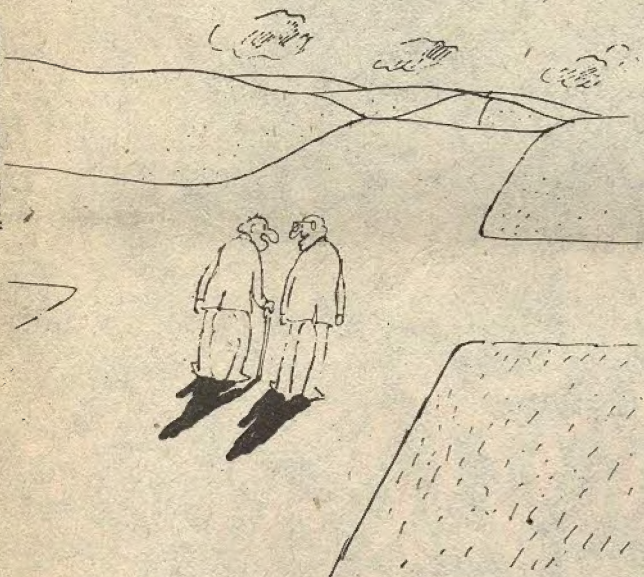
Pyżow skoczył do bufetu. W bufecie znalazł tylko cukierki. Marna to zakąska, ale droga do sklepu, na ulicę, wydawała nam się zbyt skomplikowana.

Dynowskiego zmorzył sen, a mnie, nie wiem dlaczego, zaczęło się płakać. Siniębriuchow zgarnął z biurka moje pieczątki, wpakował do teczki jakiś segregator i wybelkotał, że idzie pracować do domu.

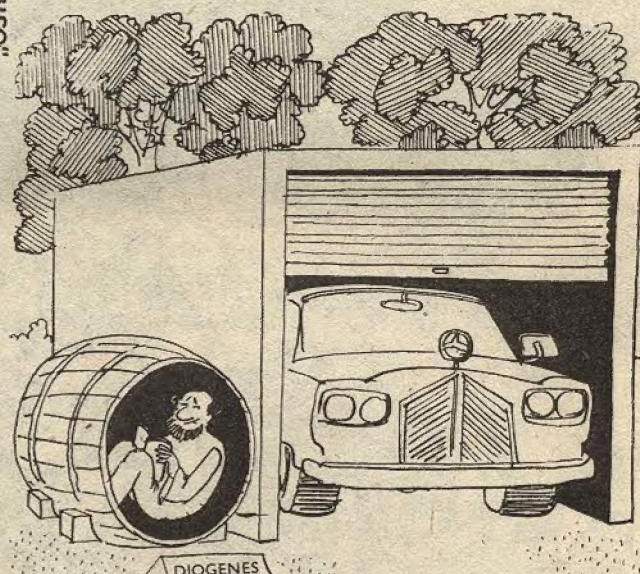
Siedzę więc i myślę co to za zdraźliwy owoc — pomarańcza. Kto coś takiego mógł wyhodować!

(bp)

„THE NEW YORKER”



„OSTEN”



— Mając 18 lat zacząłem myśleć o życiowym sukcesie i nie przestawałem wń wierzyć w wieku 28, 38, 48, 58, 68 i 78 lat. I wreszcie, kiedy byłem już skłonny sądzić, że na żaden sukces nie mogę liczyć — ukończyłem 88. To olbrzymi sukces!

karuzela

Czasopismo satyryczne
Robotniczej Spółdzielni
Wydawniczej
„Prasa-Książka-Ruch”.
Adres redakcji:
90-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 96.
Telefony bezpośrednie:
314-32, 406-46
Centrala: 293-00

Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIENKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), BOHDAN PIATKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK, ALEKSANDRA ZIMINSKA (red. techniczny), KAROL BADZIAK. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne 90-950 Łódź, ulica Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamawianych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adnotacji nadesłanych tekstów. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej w kraju wynosi 120 zł. Prenumeratę za granicą przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Numer zamknięto 30.X.1981 r. Zam. 2333 — K-2. Nr indeksu 36234

Opracowanie graficzne
HALINA SIBIŃSKA

WYSTAWIŁEŚ
BUTELKĘ
NA MLEKO?

ALEKSANDER ŚRODZYŃSKI

